

Rozdział III

Już ponad dwa miesiące kręcili się bezradnie po mieście w poszukiwaniu informacji, które mogłyby być zaczątkiem jakiejś jednej i logicznej wersji, pozwalającej na ruszenie ze śledztwem, które utkwilo w martwym punkcie już od dosyć długiego czasu. Cała, wykonywana przez wydział kryminalny, operacyjna mitręga nie dawała żadnych wymiernych efektów i w dalszym ciągu nie byli w stanie nic konkretnego na temat ewentualnych sprawców powiedzieć. Nawet w sprawie motywu zbrodni analizowali jedynie jakieś mgliste założenia, ponieważ nic im nie chciało się w jakąś logiczną całość ułożyć. Te faktycznie marne efekty ich pracy powodowały stałe pretensje Maja, któremu bardzo zależało na szybkim ustaleniu i zatrzymaniu sprawców. Mógłby wtedy zwołać swoją pierwszą własną konferencję prasową i ogłosić wielki sukces, osiągnięty samodzielnie pod jego kierownictwem. Bo sukces byłby jego, ponieważ komenda wojewódzka w prowadzone śledztwo nie wtrącała się, jakby było to jakieś mało ważne zdarzenie kryminalne, jedno z setek przytrafiających się na terenie całego województwa. Chciał wykorzystać nadążającą się okazję i pokazać Komendzie Głównej, że pod jego kierunkiem, nawet bez wsparcia z województwa, jego podwładni dadzą sobie radę z najcięższymi przypadkami i kryminalnymi zagadkami. Przecież jeszcze tak niedawno, przy tego rodzaju sprawie, w komendzie z miejsca pojawiłby się Drożdż ze swoją ekipą i to im przypisano by sukces ustalenia i zatrzymania sprawców. Cieszył się, że tego człowieka, którego szczególnie nie lubił, nie ma już, ani w wałbrzyskich, ani też w wojewódzkich strukturach policji, przez co nie będzie musiał już znosić jego widoku i jego wielu różnych uwag, które tak często mąciły jego zawodowy spokój na komisariacie. Teraz do sprawy nikt się nie wtrąca i wszystko, co się wydarzy, będzie jego dziełem i jego zasługą, a samodzielnie osiągnięty sukces, na dodatek w tak głośnej i bulwersującej społeczności sprawie, będzie go nobilitować w oczach wojewódzkiego kierownictwa. Uważał, że będzie to dobrym zaczynem dalszej, być może błyskotliwej jego kariery, dla której gotów był gonić swych podwładnych jak zwykłych parobasów. Oni musieli mu tych sprawców przyprowadzić na postronkach, niezależnie od sposobów, jakimi mieliby tego dokonać. Pamiętał doskonale, jakie metody postępowania wymusił na swych byłych podwładnych w czasach kiedy kierował komisariatem, a które tak dobrze się sprawdzały. Warunkiem sukcesu jest umiejętność zmuszenia podejrzanego do tego, aby zechciał się przyznać, - tłumaczył najbardziej zaufanym - a jak go do tego zmusicie, to już wasza inwencja. No i ludzie ci zaczęli osiągać dobre wyniki, co się w oczywisty sposób przełożyło na jeszcze lepsze notowania w kierownictwie.

Nieustającą presję, wynikającą ze skrytych marzeń Maja, Żeleźnik odczuwał bardzo boleśnie każdego dnia, kiedy stawał przed nim, wzywany rano na tak zwany dywanik, kiedy Maj pragnął zapoznać się z uzyskanymi wynikami. Musiał wtedy wysłuchiwać w pokorze tego, co komendant miał mu do powiedzenia. A do powiedzenia miał zawsze wiele, zawsze głosem wykazującym

nieskrywaną agresją i ledwie tłumioną niechęć do naczelnika, najważniejszego przecie w komendzie wydziału i w zasadzie zawsze to samo.

- I co, Żeleźnik? Dalej, kurwa, nic nie macie, bo opierdalacie się na okrągło całymi dniami – grzmiał tak głośno, że słyszała to sekretarka, oddzielona od gabinetu szefa drzwiami ze skórzanymi, ponemieckimi jeszcze, obiciami mającymi tłumić to, co za nimi się działo, – a tu trzeba robić. Robić trzeba, a nie panienki w agencji dmuchać. Myślisz, że nie wiem? Wiem i to bardzo dobrze, kto i kiedy.

- Szefie, robimy. Robimy co możemy – Żeleźnik próbował przebić się przez donośny i gniewny głos Maja – mamy nowe informacje, które wydają się naprawdę interesujące. Jacyś ruscy z Karpacza kręcili się czerwonym „polonezem” dzień przed zabójstwem i

- Ty mi tutaj ruskimi, kurwa, głowy nie zawracaj, ty mi dawaj sprawców i to szybko, bo ja się z wami rozliczę i to w trymiga. Ruskich to sobie na jakieś mafie zachowaj, tu trzeba mi miejscowych, bo to musieli być miejscowi, co machnęli zwykłą bandziorkę. Co ty sobie, kurwa, myślisz, że ja się na tej robocie nie znam? U mnie na komisariacie taka sprawa byłaby zakończona góra po tygodniu, bo tam się pracowało, a nie obijało gruchy.

Maj, jak zwykle w chwili wielkiego podniecenia, zapominał się i wpadał we właściwy sobie, szczególnie irytujący podwładnych, megalomański ton. Tak i tym razem zapomniał, że wyniki, jakie osiągał kierowany przez niego komisariat, były Żeleźnikowi doskonale znane, albowiem naczelnik kryminalnego w pewnym sensie nadzorował każdy komisariat w mieście, przez co jego wiedza na temat wyników osiąganym przez poszczególne jednostki, była wręcz znakomita. Dlatego też dobrze pamiętał aferę, jaka przed kilku laty wybuchła, po ujawnieniu - jak się wtedy powszechnie mawiało - patentu miesiąca, czyli patentu Maja, dotyczącego cudownego sposobu na podniesienie wykrywalności. Wskaźnik wykrywalności, wśród kilku innych mierników, stanowił podstawowe źródło oceny pracy komendantów komisariatów i dlatego każdy z nich dbał o to, aby był on jak najwyższy. Również i Maj o osiągnięcie niezbędnych dla dobrej oceny wskaźników, dbał jak mało kto. Obecne opowieści Maja o jego własnych i kierowanego przez niego komisariatu sukcesach, w innych warunkach wywołałyby jedynie ironiczny uśmiech Żeleźnika, ponieważ wiedział on doskonale, że komisariat, a zwłaszcza Maj osobiście, nigdy nie prowadził samodzielnie jakiegokolwiek spraw o zabójstwo. To była domena wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, który zazdrośnie strzegł swoich, w tym zakresie, przywilejów. Tylko drobniejsze sprawy, wydające się na tyle proste, że nie powinny sprawiać większych problemów, pozostawiane były do samodzielnego rozwiązywania przez sekcję kryminalną z komendy miejskiej. Dopiero w kilku ostatnich latach, w wyniku starań nowego wówczas kierownictwa komendy rejonowej, uzyskała ona prawo do samodzielnego prowadzenia śledztw i działań operacyjnych dotyczących zabójstw i napadów z użyciem broni palnej, poddanych jednakże szczególnemu nadzorowi ze strony kryminalnych z województwa. Rodziło to wiele sporów i kłótni kompetencyjnych, których powodem, w większości wypadków, były osobiste

ambicje poszczególnych osób, zaangażowanych w prowadzone działania. Z rozmyślań, nad wydumanymi sukcesami przełożonego, brutalnie wyrwały go głośniejsze wykrzyczane przez Maja słowa, które z bolesną realnością wdarły mu się pod czaszkę.

- Ja tobie mówię jeszcze raz, do kurwy nędzy, ostatni raz powtarzam. Ja chcę do końca miesiąca mieć informację, że sprawcy są ustalen i zatrzymani i mnie nie obchodzi, jak ty to zrobisz, jak te twoje nedorajdy sobie poradzą. Wynik ma być. Rozumiesz? Ma być i koniec. Ja nie będę się przed pismakami tłumaczył z twojej nieporadności, bo to kurwa mnie rozliczają, a nie ciebie. A ja sobie, kurwa, nie mogę sobie pozwolić na to, że ktoś mi będzie pisał o tym, że jeżeli Maj nie panuje nad sytuacją w komendzie, to jak może zapanować nad tym, co się dzieje w mieście – wykrzykiwał, wspomagając słowa nerwową gestykulacją.

- Rozumiesz, kurwa, o co chodzi ? - padło, wykrzyczane, raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Teraz pójdziesz do zastępcy i tam razem opracujecie plan dalszych działań i to niech on wszystko zatwierdzi, a ty mi potem tylko zreferuj, bo ja na takie badziewia, kurwa, nie mam czasu. Rozumiesz? Masz czas do końca miesiąca. To wszystko i dupy mi pierdołami nie zawracaj.

Maj zareagował w ten sposób na uwidocznioną przez Żeleźnika próbę zabrania głosu, ponieważ, licząc się z nową tyradą przełożonego, rozpaczliwie usiłował powiedzieć mu, że ludzie tyrają po 14 godzin na dobę, nie bywają prawie w mieszkaniach, że mają za mało samochodów, bo co można było zdziałać trzema samochodami, jakie wydział miał do dyspozycji. A przecież były też i inne niecierpiące zwłoki sprawy, z których był w równie brutalny sposób rozliczany na cotygodniowych odprawach, prowadzonych osobiście przez Maja. Słyszając jednak jego ostatnie słowa, machnął w duchu ręką i po zabraniu rozrzuconych na biurku papierów, wyszedł z pokoju. Sekretarka siedząca naprzeciwko drzwi gabinetu spojrzała na niego znacząco.

- Nie ma o czym mówić – odpowiedział na niezadane pytanie - wiesz jak jest. Zresztą chyba słyszałaś.

Siedząca za wielkim, poniemieckim, biurkiem dziewczyna bez słowa skinęła tylko głową.

Wychodząc z sekretariatu Żeleźnik w ostatniej chwili powstrzymał się od gwałtownego trzaśnięcia drzwiami. Po każdej takiej rozmowie czuł się jak zbity pies, który bezradnie podkula pod siebie ogon i warczy po cichu na wszystkich dookoła, rekompensując sobie brak możliwości ugryzienia. Wracał zawsze od razu do swojego gabinetu i zamykał się na jakiś czas, zabraniając sekretarce wpuszczania kogokolwiek. Chodził wtedy nerwowo po pokoju i rzucał najbardziej, jak tylko potrafił zbudować, piętrowe bluzgi kierowane pod adresem Maja, starając się, chociaż tylko w takiej formie, zrekompensować powstały i kumulujący się w nim stres. Znali się już sporo lat i nigdy – gdy jako nacelnik wydziału nadzorował pracę komisariatów - nie dochodziło między nimi do jakichkolwiek spięć, co sprawiało, że współpracowali nadzwyczaj zgodnie i bez problemów. Wydawało mu się, że gdy Maj, z którym był na ty, zostanie komendantem miejskim, to jego pozycja w komendzie znacznie się

poprawi, z uwagi na te ich wcześniejsze bezpośrednie kontakty, jakich nie miał nigdy z poprzednim kierownictwem. Okazało się jednak, że były to tylko jego płonne nadzieje z powodu szczególnie brutalnego charakteru Maja, który w kontaktach z podwładnymi nie potrafił się wyzbyć potrzeby stałego demonstrowania swojej wyższości i znaczenia, czego też efektem było stale lekceważenie fachowości, doświadczenia, wiedzy i potrzeb podporządkowanych mu policjantów. Jednakże w stosunku do osób, które plasowały się na wyższych niż on półkach hierarchii służbowej lub społecznej, odnosił się w sposób bardzo uprzejmy, niejednokrotnie z okazywanym wręcz lizusowskim uniżeniem.

Rzucając na prawo i lewo brzydkie wyrazy i wymyślając najdziwniejsze tortury, jakim gotów był Maja poddać, Żeleźnik czuł jak powoli uchodzi z niego skumulowana złość i żal. Po jakiejś chwili czuł się już na tyle wyluzowany, że powróciła normalna chęć do pracy i zdolność podejmowania decyzji.

Usiadł za biurkiem i połączył się z sekretarką.

- Zwołaj do mnie zastępcę – polecił krótko.

Po chwili połączył się jeszcze raz, polecając jej, aby wezwała też Macieja Śmiecha i Ryszarda Kowalewskiego, swoich najbardziej zaufanych i według niego doświadczonych podwładnych.

Czekając na wezwanych, zaczął jeszcze raz analizować całą dotychczasową wiedzę na temat tego zabójstwa, które mu już wielokrotnie sen z oczu spędzało. Starał się zrozumieć, jaki błąd popełnili i dlaczego po takim czasie, mają tak marne wyniki. A przecież na początku wydawało się, że sprawa nie będzie z rzędu tych trudniejszych, jak to meldował - być może niepotrzebnie - Rusowi. Ten zaś, skwapliwie wykorzystując meldowaną prostotę sprawy, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma co liczyć na pomoc z jego strony, z uwagi na prowadzone postępowania w kilku poważnych sprawach zaistniałych w ostatnim czasie na terenie samego Wrocławia, jak i miast znajdujących się w obrębie starego województwa wrocławskiego.

Wersje operacyjne, jakie równoległe prowadzili w wydziale, oparte były o informacje pochodzące raczej z mało wiarygodnych źródeł i powoli zbliżały się do końca, a wszystko wskazywało, że w najbliższym czasie w ich działaniach nie nastąpi żaden istotny przełom. Przyjęli jako pewnik, że zabójstwa dokonano z bardzo nietypowej broni stanowiącej przeróbkę urządzenia do wstrzeliwania gwoździ tapicerskich. Do broni tej użyto pocisków wyglądem podobnych do gwoździ, wytoczonych z metalowych prętów z zaostrzonymi końcówkami. Ponadto, jak wynikało z ekspertyzy balistycznej sporządzonej w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Głównej, jeden strzał oddano z rewolweru, do którego użyto naboju ręcznej roboty, z pociskiem również wytoczonym z metalowego walca. I to było wszystko czym dysponowali, a nic nie wskazywało na to, że to tapicerskie urządzenie uda się im odnaleźć i zabezpieczyć. Nie zdołali też uzyskać jakiegokolwiek informacji wskazującej, że na terenie miasta, w bliższym i dalszym okresie, odnotowano fakt kradzieży lub zaginięcia takiego urządzenia. Byli bezradni i ślepi, jak nowo narodzone kocięta. Nie dotarła do nich jeszcze żadna informacja, aby z takiej broni ktoś w Polsce został zastrzelony i jak na razie bez odpowiedzi pozostawało pytanie, kto

strzelał? Fachowcy, czy amatorzy? Z tym pytaniem nie potrafili sobie jeszcze poradzić. Wydawałoby się, że dysponując kilkoma śladami papilarnymi, które na sto procent pozostawili sprawcy, łatwo im będzie ich ustalić i rozliczyć. No i mieli przecież ślady buta, jaki jeden ze sprawców pozostawił na miejscu zabójstwa. To były ich jedyne, ale bardzo ważne, atuty, dające jakąś nadzieję na przyszłość. Nadzieję i nic więcej. Nie byli nawet zgodni, co do motywów zabójstwa, ponieważ nic im tu nie pasowało. Żeleźnik był przekonany, że mają do czynienia z typowym napadem rabunkowym, w wyniku którego zastrzelono ofiarę, bo prawdopodobnie stanowił jakieś zagrożenie dla napastników. Tylko dlaczego? Przecież jego pistolet gazowy pozostawał w kaburze, a więc nie mieli podstaw, aby sądzić, że może wobec nich użyć broni. Czyżby byli mu znani? Doświadczenie podpowiadało mu, że w tego rodzaju napadzie rabunkowym, dokonanym przecież w centrum dużego miasta i praktycznie w czasie największego ruchu, sprawcy powinni być zamaskowani. Z odkrytymi twarzami idą jedynie w przypadku, kiedy mają z góry zaplanowane, że ofiara napadu nie będzie już nic mogła powiedzieć, czyli zostanie zgładzona. A więc napad, czy jakaś zemsta, porachunki, o jakie w każdym półświatku nie trudno? No i przecież ludzie ci musieli wejść i wyjść z antykwariatu bez jakiegokolwiek maskowania, ponieważ mimo naprawdę wyteżonej pracy nie udało się im ustalić chociażby jednej osoby, która widziałaby – przynajmniej przez moment – jakieś zamaskowane postaci.

Ponadto, dręczyło go pytanie, czy dla marnych kilkuset złotych warto ryzykować zabójstwo człowieka? Czy w ogóle warto organizować napad rabunkowy, aby zabrać z antykwariatu nie mających żadnej wartości kilka monet? No i dlaczego pancerna kasa nie została opróżniona, dlaczego denat nie został ograbiony nawet z tych kilku bardzo wartościowych drobiazgów, jakie miał w chwili zgonu na sobie? Bo przecież grubej złotej bransolety na rękę trudno było nie dostrzec, tak samo jak złotego „Rolexa” i również złotego łańcuszka na szyi. Musiało więc chodzić o jakąś grubszą sprawę, a motyw rabunkowy chyba upozorowano. Ani jemu, ani żadnemu z policjantów nie przychodził do głowy jakikolwiek inny, niż rabunkowy, motyw, ale to sprawy do przodu nie posunęło ani o centymetr. Bez przerwy prawie zastanawiał się kim byli sprawcy? Miejscowi to, czy przyjezdni? Dlaczego z miasta nie napływają żadne konkrety? Przecież sieć informatorów została uruchomiona od pierwszego dnia, a oni zanotowali tak marne wyniki, jeżeli chodzi o informacje mogące dotyczyć tego zabójstwa. Bardzo to go irytowało i nie dawało spokoju. Pytania mnożyły się jak króliki, a żadnej, jak dotychczas, odpowiedzi. Paranoja jakaś i nic więcej. Doświadczenie i logika podpowiadała mu, że tu raczej musi chodzić o coś bardziej poważnego, niż banalny napad rabunkowy. Tyko o co? Nic logicznego nie przychodziło mu do głowy i o tym właśnie miał zamiar porozmawiać z najlepszymi swoimi ludźmi.

Rozmyślenia przerwało mu wejście wezwanych przez sekretarkę policjantów, którym po zdawkowym przywitaniu polecił, aby usiedli w fotelach stojących wzdłuż długiej ławy, przy której zazwyczaj odbywały się ważniejsze narady robocze.

- Panowie – rozpoczął – byłem u szefa na dywanie i dostałem straszny opierdół za was, za waszą nieudolność. Dał nam czas do końca miesiąca i wtedy żądać będzie przedstawienia konkretnych wyników, lub przynajmniej czegoś, co może rokować szansę wyjścia na sprawców. Rozumiecie, co to znaczy?

Siedzący przy stoli w milczeniu, jakby odruchowo, skinęli głowami, a on zdał sobie sprawę, że i jego podwładni, od czasu do czasu, również miewali z Majem, tak zwane bliskie spotkania niebezpiecznego rzędu, dlatego charakter miejskiego szefa znali na wylot.

- Maj mi jaja urwie, jak nic nie będziemy mieli, ale ja potem wam zrobię takie maglowanie, że będziecie to pamiętali do końca życia – mówił zdając sobie sprawę, że jego słuchacze nie przywiązują do tego większego znaczenia. Doskonale wiedzieli, że to z jego strony tylko taki niezbędny wstęp do dalszej konkretnej rozmowy.

- Jacek, co jest z tą informacją o tym śmieciu z Rynku? Mówiłeś, że jest to coś ciekawego. Więc co jest z tą informacją, bo mi jakoś dziwnie to pachnie. Robicie coś z tym, czy macie ją w dupie, panowie? – zwrócił się w tym momencie do wszystkich obecnych. Śmiech wymownie spojrział na Palkę, który nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Zadane pytanie zmroziło go, bo przypomniał sobie, że informację przedstawił Żeleźnikowi na piśmie i ten zadekretował mu jakieś działania, które niestety nie zostały przez niego dokończony, ponieważ kapeć, jak nazywali niekiedy swych informatorów, już się nie pojawił. Chyba wyjechał nad morze, tak jak to wcześniej zresztą zapowiadał. Zdał sobie sprawę, że gdzieś te papiery wrzucił, lub komuś dał, a potem o nich zapomniał. Wyleciało mu to zupełnie z głowy.

Wiedząc, że nie może przecież powiedzieć, iż nie wie gdzie jest dokumentacja i że kaptura nie ma, bo wyjechał, nie dając na siebie żadnego namiaru, postanowił zagrać na jedyny, ratunkowy w istocie, sposób, jaki przyszedł mu do głowy, a mianowicie, stwierdzając, że uzyskana informacja jest niewarta zachodu.

- E, okazało się, że to było nic nie warte. Sprawdziłem to, ale to syf. Kapeć trochę przesadził, poprzekręcał i tyle. Obecnie wyjechał nad morze do roboty i czekam, aż się odezwie, być może jeszcze coś doda, a wtedy się zobaczy, chociaż na dzień dzisiejszy możemy to spokojnie spuścić. To nie to – kłamał jak z nut i dziękował Bogu, że Żeleźnik ufał mu chyba najbardziej ze wszystkich ludzi w wydziale. Miał więc szansę, by informacje te jeszcze jakoś sprawdzić i w razie potrzeby wykorzystać. Oczywiście jak odnajdzie te cholerne kwity.

- Szefie,- odezwał się Kowalewski – dzwoniła dziś rano sekretarka od Fajbusa – mówiła, że pierwszego czerwca będzie emisja programu. Może ktoś po tym programie się odezwie, bo to niemożliwe, żeby nikt nic nie widział i nie wiedział. Jak byłem na nagraniu, to zapowiedziałem, że policja wręczy dużą nagrodę pieniężną. Myślę, że to jest dobry lep i ktoś się na to musi połakomić. Pamiętajcie sprawę napadu na ten sklep z telefonami - przerwał, widząc gwałtowną reakcję Żeleźnika, który wyraźnie zdenerwowany zwrócił się w jego stronę.

- Kto ci pozwolił mówić o jakiejś nagrodzie. Chcesz, aby się nam zleciało pół miasta z bzdurnymi wieściami?

- Jak to, kto? Holender, przecież z nim rozmawiałem przed wyjazdem, co i jak mam tam mówić - Kowalewski bronił się zdecydowanie

- Co ty, kurwa, o takich sprawach gadasz z Holendrem, ja tu jestem od tych spraw, chyba ci się coś zapomniało – Żeleźnik był naprawdę zdenerwowany tą informacją, zdając sobie sprawę, jakie to może mieć konsekwencje i ile zbędnej roboty może im się na głowę zwalić. Miał do siebie pretensję, że nie odprawił Kowalewskiego przed wyjazdem, ale usprawiedliwiała go to, że tego zażyczył sobie sam Holender.

- Roman, uspokój się – pojednawczo wtrącił się Palka – powiedział to, co Jurek mu kazał i nie ma się co chłopu czepiać. Pojutrze jest emisja, to czekamy na jakiś odzew. Ja zaraz ustalę dyżury przy telefonie i powiadomię wojewódzką, aby zarządzili takie dyżury w terenie. Może coś się wreszcie sypnie - mówił szybko, aby uniemożliwić ewentualny powrót do tej nieszczęsnej zapomnianej dokumentacji. Nieodległa już data emisji programu i przygotowanie do ewentualnych działań po jej zakończeniu, dawały mu czas na odnalezienie tych papierów i podjęcie jakichś dalszych konkretnych sprawdzeń.

- Ja myślę, żeby szef zarządził dla wszystkich odbycie szybkiego spotkania z ucholami. Chodzi mi o to, aby odbyły się jeszcze przed tym programem – odezwał się milczący dotąd Śmiech – jest nadzieja, że coś zaskoczy i wreszcie ruszymy. Jak to kręciliśmy, to trochę ludzi się pętało przy ekipie i już wtedy myślałem, że coś powinno to nam dać. Może teraz ...

- Ja też mam taką nadzieję – dorzucił z wiarą Palka

- Nadzieja to matka głupich, pamiętajcie o tym panowie – skomentował ich wiarę Żeleźnik.

- Tak, ale głupi ma szczęście – cicho mruknął Śmiech, mając na myśli Maja, którego zbytnią estymą nigdy nie darzył i jako stary policyjny wyga oceniał go bardzo krytycznie, chociaż z ostrożności życiowej nigdy nikomu tego nie powiedział. Był zbyt doświadczony w tych sprawach.

Przez długi jeszcze czas obradowali nad tym, co i jak należy przygotować, jakie jeszcze działania zorganizować i jakie kanały informacyjne uruchomić. Po uzgodnieniu tych, w zasadzie jak najbardziej rutynowych działań, zwolnił podwładnych z poleceniem szczegółowego wdrożenia wszystkich przyjętych ustaleń. Rozmowa z podwładnymi trochę go wewnątrz uspokoiła i pozwoliła zapomnieć mu o cyrku, jaki rano urządził mu Maj, ale po chwili złapał się na tym, że w jego myślenie o tej sprawie, powoli wkracza wątpliwość, czy uda się ją rozwiązać.

* * *

Tak, jak się tego obawiał, zaraz po zakończeniu programu „997” telefony alarmowe, zarówno w wydziale, jak i u oficera dyżurnego, milczały uparcie, wyraźnie wskazując, że nic nowego, żaden przełom, w sprawie nie nastąpi. Pocieszał się, że może w ciągu kilku najbliższych dni, jakieś informacje jeszcze wpłyną. Trzeba po prostu cierpliwie czekać. Zastanawiał się przez chwilę, czy wybrany termin emisji był odpowiedni, bo program nadano akurat w Dniu Dziecka i być może sporą część walbrzyszan nie sprawy kryminalne miała w tym dniu na głowie.

- Kurwa, nie mogli wybrać lepszego terminu – pomyślał niechętnie, kiedy dyżurny z wydziału i dyżurny komendy, zameldowali mu, że brak jest konkretnego odzewu, a te kilka marnych telefonów wykonanych było bardziej przez jakichś ciekawskich, niż kogoś, kto ma coś ważnego do przekazania. Jednakże, w dniu 5 czerwca zdarzyło się to, na co tak długo czekali wszyscy. W dniu tym, jak zwykle rano zasiadł za biurkiem, aby przejrzeć leżące na nim papiery, raporty i inne dokumenty przyniesione raniutko przez sekretarkę. Musiał się z nimi zapoznać od razu, aby w razie nagłego wezwania przez Maja, mógł mu sprawnie referować każdy temat, o który tenże by go zahaczył. Czytał te papiery, ale jakoś nic nie chciało mu wchodzić do głowy. Po prostu czuł się już tym wszystkim bardzo zmęczony.

- Szefie – przez uchylone drzwi zajrzała sekretarka – jest tu Broda, to znaczy Brodacz z czwórki – szybko się poprawiła - i mówi, że ma jakieś bardzo ważne informacje w sprawie antykwariatu, ale przekaże je tylko naczelnikowi. Wpuścić?

- Dawaj go – Żeleźnik poczuł przyływ ciepłej krwi – może to teraz, może ten program jednak coś przyniósł – zastanawiał się w myślach oczekując na wejście znanego mu bardzo dobrze policjanta. Był to jego dobry znajomy jaszcz z okresu starej komendy miejskiej, który od jakiegoś czasu pracował w sekcji kryminalnej IV komisariatu obejmującego śródmieście Wałbrzycha.

- Cześć Roman – wchodzący do gabinetu mężczyzna był wyraźnie czymś poruszony, czego nawet nie starał się zbyt ukrywać – mam dla ciebie bombę. Flachę stawiasz jak nic. Mam gadać? – zapytał, udając, że oczekuje na zgodę Żeleźnika.

- No, na co czekasz, gadaj, co tam masz – Żeleźnik z kolei starał się okazać całkowitą obojętność na to, co mu niespodziewany gość może przekazać, chociaż aż trzęsło go z ciekawości i nadziei, że to, co mu Brodacz powie, będzie iskrą powodującą znaczący przełom w ich działaniach.

- Mam bezpośredniego świadka – powoli i jakby uroczyście, oświadczył Brodacz, patrząc Żeleźnikowi prosto w oczy – widział sprawców i było ich trzech. Jednego chyba nawet zna osobiście.

Żeleźnik z westchnieniem ulgi opadł na fotel.

- Siadaj – rzucił niedbale, wskazując policjantowi na najbliższy fotel – i opowiadaj, tylko ze szczegółami i powoli. Napijesz się czegoś? Kawa, woda – wskazał na stojące na szafce koło komputera kilka butelek wody mineralnej.

- Wolałbym kawę. Bez cukru – Brodacz, znany powszechnie jako Broda, podkreślił to szczególnie, znając upodobanie Żeleźniaka do mocno osłodzonej kawy i herbaty.

Żeleźnik szybko wydał odpowiednie dyspozycje sekretarce i spoglądając niecierpliwie na swego rozmówcę, wygodnie rozsiadł się w fotelu. Czuł wzrastające napięcie i jednocześnie obawę, aby to, co teraz usłyszy nie okazało się kolejnym niewypałem, z jakim już w tej sprawie miał kilka razy do czynienia. Ale jednocześnie, jakby podświadomie wyczuwał, że teraz jednak to chyba będzie to, na co tak długo czekał. Zbyt dobrze znał Brodacza, aby nie wiedzieć, że z byle czym do niego by się nie fatygował.

Ten, jakby czytając myśli kolegi, rozsiadał się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa, chociaż doskonale wiedział, że Żeleźnik nie pali i nie pozwala komukolwiek na to w swoim gabinecie. Wiedział jednak, że tym razem nie zareaguje, bo zbyt był ciekawy tego, co Brodacz miał mu do powiedzenia.

- Otóż, wczoraj ...

- Daj zapalić – niespodziewanie poprosił go Żeleźnik, przerywając ledwie rozpoczętą narrację.

- Co, ty palisz? Byłem święcie przekonany, że nie – w pytaniu Brodacza pobrzmiwało najwyższe zdumienie.

- No, wiesz, trochę mnie zaskoczyłeś, a i tak jestem zdenerwowany, to jakoś tak mi się zachciało – usprawiedliwił swoje niespodziewane, nawet dla niego, życzenie - Gadaj, co tam masz.

Po odpaleniu papierosa zaciągnął się głęboko, więc trochę mu zawirowało w głowie, ale wiedząc, że to zaraz minie, zaciągnął się jeszcze raz. W tej też chwili, gdy wciągnięta nikotyna zakołysała mu pod nogami podłogę, weszła sekretarka z dwiema parującymi filizankami kawy. Szybko pociągnął spory łyk, co podłogę przywróciło do normalnej pozycji. Odetchnął z ulgą i zgasił papierosa. To jednak nie dla mnie - pomyślał.

- Nooo, to opowiadaj wreszcie – zwrócił się do Brodacza.

- Ten pomysł z „997” to był strzał w dziesiątkę – zagał rozmówca – i autor powinien dostać premię, bo jak wiem, to do tej pory nic nie macie, a teraz ja wam sprawcę przynoszę.

Brodacz celowo udawał, że nie wie, kto jest inicjatorem wykorzystania znanego programu redaktora Michała Fajbusiewicza, który już kilkakrotnie gościł ze swą ekipą w Wałbrzychu, kręcąc programy na zlecenie dawnej komendy wojewódzkiej. Przezornie uznał, że jest okazja, aby sobie parę punktów u Żeleźnika zaskarbić, bo dobrze wiedział, że to on przeforsował w kierownictwie wykorzystanie tego programu, chociaż Holender był temu przeciwny, uznając, że na to jeszcze za wcześnie.

- Nie wiadomo czy się to kiedyś nie przyda – kalkulował w duchu.

- Słuchaj Broda, ty tak sobie tu przychodzisz i mi mówisz, oto jest sprawca – Żeleźnik, już trochę zniecierpliwiony, zaczął ironizować – no to powiedz mi wreszcie do cholery, kto to jest i przestań się bawić w te gierki.

Brodacz czując zniecierpliwienie i olbrzymią ciekawość kolegi, przez moment zastanowił się czy dalej przeciągać chwilę obwieszczenia swych rewelacji, czy, aby nie ryzykować jakiegoś nagłego wybuchu, przystąpić do sedna sprawy. Podświadomie wybrał to drugie, bezpieczniejsze dla siebie i korzystniejsze dla rozmówcy, rozwiązanie.

- Wczoraj spotkałem się z jednym moim kapciem¹. Powiedział mi, że sąsiad jego przyrodniej siostry widział sprawców zabójstwa Wiśniewskiego – wypalił

1. Powszechnie używane przez policjantów na określenie swoich informatorów, których zresztą nazywano różnie: kapeć, koń, uchyl, ucho, ale zawsze chodziło o osobę, która zgodziła się udzielać ważnych informacji o różnorodnych zdarzeniach kryminalnych i ich sprawcach, o których w inny sposób nie mieliby w ogóle szansy się dowiedzieć. Informacje przekazywali za pieniądze, albo z chęci zaszkodzenia konkretnym ludziom, lub konkurencyjnej grupie przestępczej. Rzadko, ale zdarzały się przypadki, że informator podejmował współpracę ze względów bardzo osobistych, co z reguły skutkowało wieloma cennymi dla policji informacjami operacyjnymi, a niekiedy wprost procesowymi.

jednym tchem Brodacz, uważnie obserwując reakcję Żeleźnika, wiedząc, że z całym podległym mu wydziałem, od ponad dwóch miesięcy bezradnie kręcą się w miejscu, jak pies za własnym ogonem. Zaskoczyła go jednak nad wyraz spokojna, a nawet raczej sceptyczna, reakcja Żeleźnika.

- Jeszcze jeden nawiedzony, tak? – zapytał go bez żadnej emocji.

- Nie, Roman, to nie jest jakiś durnowaty dupek. Pamiętasz sprawę tego napadu na kantorowca z tamtego roku?

- No, pamiętam. Nawet to, że to dzięki tobie wyszliśmy szybko na sprawców – Żeleźnik z zaciekawieniem spojrział na Brodacza.

- Nie, to nie dzięki mnie, a jego właśnie. To ta sama osoba. To Murarz. Pamiętasz tę ksywę? To on.

Żeleźnik prawie podskoczył w fotelu słysząc kim było źródło informacji. Pamiętał doskonale tamtą sprawę, i rolę jaką odegrał ten człowiek. Przekazane przez niego wiadomości były bardzo precyzyjne i potwierdziły się w całości, co pozwoliło im błyskawicznie zatrzymać sprawców napadu i odzyskać zrabowane pieniądze.

- O, to coraz bardziej ciekawie się robi. Opowiadaj więc, ale może przejdź wreszcie do konkretów i daruj sobie te wszystkie wstępy – niecierpliwił się coraz wyraźniej.

Widząc to zniecierpliwienie, Brodacz wygodniej rozsiadł się w fotelu i wyciągnął z kieszeni kurtki notesik, w którym, tak jak każdy stary operacyjny, notował sobie ważniejsze informacje i uwagi. Po szybkim przewertowaniu kilku kartek, rozpoczął relację, w trakcie której w Żeleźniku nadzieja rosła jak ciasto na drożdżowym zaczynie, że jest to jednak ten jeden, jedyny i zawsze oczekiwany moment, kiedy w sprawie, która wydaje się już beznadziejną, pojawia się informacja otwierająca pole do szybkiego i efektownego jej zakończenia. Słowa Brodacza układające się w logiczny ciąg informacji, których prawdziwości nie miał powodów kwestionować, wskazywały mu, że ten przełomowy moment nareszcie nadszedł.

Ze szczegółowej i precyzyjnej relacji wynikało, że w dniu wczorajszym, po południu, Brodacz wyszedł z żoną na spacer, aby przy okazji, w jednym z ogródków piwnych w Rynku napić się dobrego piwa. Zachęcała do tego utrzymująca się już od dłuższego czasu prawie już letnia pogoda, co spowodowało, że obrzeża Rynku upstrzone zostały parasolami wystawionymi przez personel kilku restauracji mających tam swoje siedziby. Delektując się podanym mu piwem, zauważył Murarza, siedzącego nieopodal z jakąś, wyraźnie od niego młodszą, kobietą, której on nie znał.

Widząc, że został dostrzeżony, Murarz dał mu dyskretny znak sygnalizując, że chciałby z nim porozmawiać. Zauważył to i po zamówieniu kolejnego piwa, poinformował żonę, że musi na chwilę oddalić się na parę minut, więc ma na niego spokojnie czekać. Nie miał wątpliwości, że wyćwiczona wieloletnim stażem policyjnej żony, żadnych zbędnych pytań zadawać mu nie będzie i spokojnie poczeka na jego powrót. Faktem jest, o czym się od niej później dowiedział, że mimo próby zachowania dyskrecji, i ona zauważyła, iż z nieznanym jej facetem dają sobie jakieś tajone znaki. Nie obchodziła jej to absolutnie, bo wiedziała, że

to, czym się jej mąż zajmuje, wymaga od niego niekiedy dziwnych znajomości i zachowań.

Niby przypadkowym gestem ręki wskazał Murarzowi na ulicę Św. Jadwigi, wąskiej i raczej krótkiej uliczki, lekko opadającej w kierunku ulicy Adama Mickiewicza, jednej głównych wałbrzyskich arterii komunikacyjnych. Na rogu Św. Jadwigi i Moniuszki, biegnącej równolegle do ulicy Młynarskiej, znajdowała się kultowa niegdyś kawiarenka o nazwie „Zielona Gęś”, ówczesne miejsce spotkań miejscowego środowiska o tak zwanych inteligentkich korzeniach, a jej popularność wynikała z tego, że na początku lat pięćdziesiątych XX wieku, w jej progach gościł często poeta Konstanty Ildefons Gałczyński, leczący w nieodległym Czarnym Borze swoje różne nałogowe przypadłości. W tamtych czasach właścicielem lokalu był serdeczny przyjaciel poety, Władysław Sidorowski, meloman i wielki miłośnik sztuki, który niestety później z Wałbrzycha wyemigrował do Warszawy, gdzie przez następne lata był dyrektorem restauracji SPATiF. Na pamiątkę częstych pobytów poety w tymże przybytku, ściany kawiarni przyozdobione zostały przed laty kolorowymi rysunkami znanych postaci z teatryku „Zielona Gęś”, od którego również wzięła się i sama nazwa lokalu. Obecnie pełnił on funkcję przybytku, w którym lubiał się spotykać kwiat miejscowego półświatka, aczkolwiek zdarzało się, że zaglądali tam również ludzie nie będący świadomi tego, z kim przyszło im tak blisko obcować.

Brodacz, jak zapewne i wielu wałbrzyszan i turystów zwiedzających miasto, za każdym razem, kiedy z Rynku wchodził w tą brukowaną kocimi łbami uliczkę, miał wrażenie, że odbywa błyskawiczną podróż w czasie i przenosi się w okolice końca XIX wieku. Wrażenie takie wywoływał widok zaniedbanych podwórek otoczonych ścianami starych czynszowych kamienic, częściowo pozbawionych tynków, do których przyklejone były jakieś, równie zaniedbane komórki, przybudówki, resztki murów, ciągnących się wzdłuż podziurawionych chodników, zamkniętych w kwartale ulic Świętej Jadwigi, Młynarskiej, Garbarskiej i Moniuszki. To tu, pośród dziesiątków różnego rodzaju sklepów, biur i innych lokali użytkowych, mieścił się antykwariat Wiśniewskiego, w którym kilka miesięcy wcześniej został zastrzelony. Nad całością, nie tylko tej części miasta, górował jeden z najbardziej rozpoznawalnych wałbrzyskich obiektów, wymurowany z czerwonej cegły kościół pod wezwaniem Aniołów Stróżów, zbudowany w latach 1899 – 1904. Naprzeciwko tej charakterystycznej budowli, przy ul. Niskiej, będącej odnogą ul. Moniuszki, na parterze dwupiętrowej kamienicy, od wielu lat mieścił się antykwariat, znany setkom mieszkańców Wałbrzycha. Odwiedzało go sporo osób, ponieważ Wiśniewski znany był z tego, że miał zawsze na podorędziu jakieś ciekawe rzeczy do sprzedania, a nawet jeżeli ktoś nie miał zamiaru dokonywać zakupu, to wielu zachodziło tam, by pooglądać przynajmniej różne ciekawe antykwaryczne eksponaty, których lokal zawsze był pełen.

Gdy doszedł do skrzyżowania z ulicą Młynarską, skręcił w prawo, pamiętając, że za nr 11, w odległości około 30-40 metrów, znajduje się niewielki placyk, będący zapewne pozostałością po istniejącej tu niegdyś kamienicy. Ten niewielki

ślepy zaułek był idealnym miejscem dla spotkania z Murarzem, albowiem z boków osłonięty był szczytowymi, nie posiadającymi okien, ścianami przyległych budynków, zakończony był dosyć wysokim murem, który dawał im pewną osłonę przed ewentualnymi ciekawskimi, siedzącymi często w oknach oficyny budynku przy Moniuszki. Natomiast po drugiej stronie Młynarskiej ciągnął się, mocno odrapany, wysoki ceglany mur, ogradzający tereny dawnej niemieckiej wytwórni win Kirchniawy-Werke, założonej w 1875 r., przez Paula Opitza. W zakładach tych produkowano niegdyś, świetne ponoć, likiery, szampany i wina, oraz soki owocowe. Po wojnie nadano im nową i wdzięczną swą prostotą nazwę, Wytwórnia Win „Alfa-Plus”, by nadal prowadzić produkcję podobnego asortymentu napojów alkoholowych, z tym tylko, że niestety ograniczono się do win i tak zwanych winiaków, które, niestety, ani winem, ani koniakiem absolutnie nie były. Przez wszystkie powojenne lata, Wytwórnia pełną parą produkowała spore ilości taniego wina, na które znajdowała wielu chętnych nabywców i którego smak zapamiętany został na lata przez wielu wałbrzyszan. Brodacz w latach młodości, na tak zwanym „kwadracie” w Parku Sobieskiego, wraz z kolesiami z ulicy, niejedną jej produkt końcowy, czyli flaszkę owocowego wina o wdzięcznej nazwie „Wino Owocowe”, obalił. Pamiętał doskonale, że któregoś razu, gdy solidarnie dzielili się zawartością owego produktu, Janusz Rotarski, kolega z jednej klasy I Liceum im. Paderewskiego, opowiadał im o swojej niegdysiejszej praktyce studenckiej, jaką odbywał w tej wytwórni. Najbardziej obrazowo, ze wszystkimi niezbędnymi szczegółami, opisywał moment mycia owoców, czyli jabłek, które zsypany do sporej wielkości basenu z wodą. Wdział pływające w tam szczury, ale nie to było głównym punktem opowieści Janusza. Największe wrażenie zrobił na nim szczegółowy opis, jak brygadzysta z równie pijanymi jak on pracownikami, do basenu tego, z głośnym rechotem, oddawali mocz. Robili przy tym zakłady, kto dalej sięgnie, no i jak zawsze, strumień brygadzysty był nie do pokonania.

Los fabryki przypieczętowany został z początkiem lat 90-tych XX wieku, po upadku systemu zwanego potocznie komuną, zakład w błyskawicznym tempie zamienił się w wielkie rumowisko, wyglądając tak, jakby przed chwilą zakończył się ciężki nalot bombowy lub ostrzał artyleryjski. Ruiny te od lat ozdabiały centrum 120-tysięcznego miasta, dając możliwość zarobku dla wielu wałbrzyskich zbieraczy złomu, którzy w ramach prywatnego demontażu "porzuconych" przez państwo dawnych fabryk, wyciągali, co tylko się dało, aby parę złotych niezbędnych dla przeżycia ich rodzin zarobić. Jednocześnie też, rumowisko to stanowiło swego rodzaju skarbonkę dla różnego rodzaju meneli, którzy nie byli w stanie przeżyć chociażby jednego dnia, bez spożycia naprawdę taniego napitku, zwanego popularnie, z uwagi na swoje psychodeliczne niejako właściwości, „mózgojebem”, lub, już bardziej wytwornie, „mózgotrzepem”. Praktycznie z tego samego powodu stanowiło też znakomite miejsce spotkań szerokiego autoramentu wałbrzyskich meneli płci obojga, ponieważ nawet miejscowi policjanci, zwłaszcza nocą, starali się omijać je szerokim łukiem. Dopelnieniem tego obrazu były wiecznie brudne i krzywe podwórka, co wielu mieszkańców tych ponurych kamienic mogło doprowadzić do ciężkiej depresji,

ale za to na pewno wywołałyby zachwyt filmowców, szukających plenerów do mrocznych opowieści filmowych.

Gdy znalazł się już na placyku, który umyślił sobie jako miejsce spotkania, stanął za załomem mury i zaczął obserwować ulicę, rozglądając się czujnie wokół, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę z charakteru tej części śródmieścia. Znajdował się w tzw. kwadracie, pełnym różnego rodzaju melin i meneli, przedstawicielei wszelkiej miejskiej patologii, co dla obcego mogło się niekiedy zakończyć dosyć nieszczęśliwie. Rozejrzał się ponownie, ale żadnego innego ustronnego miejsca nie dostrzegł. Po upływie kilku minut zauważył Murarza, który dyskretnie oglądając się na boki, kierował się powoli w jego stronę. Wychylił się zza muru sygnalizując swoją obecność i po chwili Murarz znalazł się obok niego. Nie siląc się na zbędną w tych okolicznościach kurtuazję, zapytał go wprost, czy biorąc pod uwagę jego zachowanie, ma dla niego coś istotnego do przekazania. Murarz uśmiechnął się znacząco, wyciągając z kieszeni koszuli lekko zmiętego papierosa. Przepraszając, że to niby ostatni, przypalał go nieśpiesznie. Brodacz oczekiwał i w spokoju obserwował odgrywany przed nim teatrzyk, który zapewne miał mocno podgrzać jego nie tylko policyjną ciekawość. Wreszcie, po głębokim zaciągnięciu się dymem, Murarz bez pośpiechu wyłuszczył to, co miał mu do przekazania.

Okazało się, że kobieta, z którą siedział przy piwie, jest jego młodszą przyrodnią siostrą, którą jego ojciec splodził kiedyś na boku, przez co doszło do rozwodu z jego matką. Mimo sporej różnicy wieku, utrzymują dosyć bliski kontakt i niekiedy Murarz trochę jej pomaga, a także doradza w sytuacjach dla niej trudnych bądź kłopotliwych. Właśnie wczoraj zadzwoniła do niego i poprosiła o spotkanie, w czasie którego opowiedziała mu, że jej sąsiad, którego zna od czasów szkolnych, widział sprawców zabójstwa Wiśniewskiego. Zresztą, jest to trochę skomplikowane, bo w zasadzie dowiedziała się tego od jego matki, która często wpada do niej na kawę, ale później się chłopaka podpytała i on to jej powtórzył. Ufał jej, bo mimo kilkuletniej różnicy wieku, przyjaźnili się ze sobą, a na pewno lubili nawzajem.

Konkretnie miał niby widzieć, jak do antykwariatu wchodzili, a później z niego wybiegli w wielkim pośpiechu trzej mężczyźni, z których jednego zna i wie jaką ma ksywę. Tak naprawdę, to on sam też jej o tym opowiadał, wieczorem, już w dniu zabójstwa, ale ona nie bardzo mu wierzyła, ponieważ dobrze wie, że niekiedy lubi sobie pozmyślać, albo mocno ubarwiać prawdziwe zdarzenia, w których brał udział, lub tylko o nich słyszał. Lecz gdy przedwczoraj obejrzała w telewizji program „997”, to się jej to wszystko przypomniało i teraz nie wie, co ma z tym zrobić. Dlatego poprosiła go o spotkanie, aby doradził jej jak dalej ma postąpić i czy chłopakowi nic nie będzie groziło, jak sprawę tą ujawni, bo mówił jej, że boi się tych chłopaków, ponieważ jednego z nich zna i wymieniał nawet jego ksywę, ale ona teraz już jej nie pamięta. Ale do Murarza zadzwoniła z tego powodu, że rano, następnego dnia po tym programie, matka tego chłopaka wpadła do nich na kawę i zwierzyła się z dylematu, jak ma postąpić, bo w telewizji mówili o jakiejś nagrodzie pieniężnej dla osoby, która udzieli istotnych informacji o sprawcach, a ona wie od syna, że ich widział. Z jednej

strony chciałyby te pieniądze otrzymać, ale z drugiej strony, obawia się, że jeżeli to, co mówi syn jest prawdą, to czy nie będzie mu coś w przyszłości groziło. Po tej rozmowie z matką chłopaka, pomyślała, że parę groszy i jej by się przydało i dlatego poprosiła go o to spotkanie i radę, czy powinna się z tymi wieściami zgłosić na policję lub do prokuratury.

Murarz, zdając sobie sprawę z wagi uzyskanej informacji, od razu zasugerował jej, że ma możliwość skontaktowania się ze znajomym gliniarzem, który mógłby z nią porozmawiać, by asie później z tym chłopakiem skontaktować i ona się na to zgodziła. Nie bardzo tylko wierzyła w to, że będzie chciał jeszcze o tym rozmawiać, a zwłaszcza z policjantami. Stwierdził też, że siostra jest wyraźnie zainteresowana ewentualną nagrodą, jaką policja miała wypłacić każdemu, kto jej pomoże w ustaleniu sprawcy. Wypytywała go o możliwą wysokość takiej nagrody, więc powiedział jej, że jeżeli informacje będą prawdziwe, to policja może wybecelować nawet i ze dwa tysiące.

- No, toś chłopie bardzo szczodry się zrobił. Za dwa tysiące, to policjant musi miesiąc doginać – skomentował Brodacz, ale nie zaprzeczył, że taka kwota może być brana pod rozwagę.

- Słuchaj Broda, dobrze wiesz, że dobra informacja, to dobra kasa, a wy głównie macie i więcej niż prawdopodobne, długo jeszcze głównie mieć będziecie. Jestem przekonany, że ona mówi prawdę, bo dobrze ją znam. No i tego szczyła również kiedyś poznałem i możliwe, że faktycznie coś widział.

Brodacz nie oponował i szybko uzgodnili dla Murarza odpowiednią legendę, kamuflującą faktyczne powody znajomości z Brodaczem. Ustalili więc, że Murarz zaraz pójdzie z siostrą do jej mieszkania mieszczącego się w jednej ze starych kamieniczek wałbrzyskiego Rynku i zadzwoni do niego z komórki, prosząc go o przybycie pod podany adres. Siostrze ma powiedzieć, że gliniarz do którego zadzwoni, jest sąsiadem jego brata i stąd ich znajomość.

Już po niespełna godzinie, w czasie której Brodacz odprowadzając żonę na przystanek MPK, wytłumaczył jej, że musi udać się na ważne spotkanie, znalazł się w mieszkaniu Zofii Maniowskiej, o której mu Murarz opowiadał. Po dokonaniu stosownej prezentacji, Murarz wytłumaczył siostrze, że pozostawi ją samą z Brodaczem, ponieważ nie chce im przeszkadzać w rozmowie, a ponadto lepiej będzie, jak jej informacje usłyszy jedynie policjant, bez jego obecności. Ponieważ Maniowska tłumaczenie przyjęła z wyraźnie okazanym zrozumieniem, Murarz bez zbędnego ociągania się opuścił mieszkanie, pozostawiając w nim policjanta z lekka wystraszoną jednak, całą tą sytuacją, kobietą. Gdy już zostali sami, poprosił ją, aby opowiedziała mu wszystko co wie, najdokładniej jak potrafi i bez obawy, że to może jej narzeczonemu – jak się wyraził - zaszkodzić. Zofia zareagowała gwałtownie, że to żaden narzeczony, a jedynie dobry kolega, a nawet prawie przyjaciel, co Broda skwitował stwierdzeniem, że to nawet lepiej, nie tłumacząc jej, co miał dokładnie na myśli. Uspokojona tym dziewczyna, trochę chaotycznie, opowiedziała mu, że po programie telewizyjnym „997”, który oglądała, na drugi dzień rano wpadła do niej na kawę sąsiadka Jolanta Danielak, która jej pośniedziła, że jej syn w dniu zabójstwa widział trzech mężczyzn, którzy weszli do antykwariatu, a następnie

z niego wybiegli. Jednym, z nich jest jakiś znajomy syna i on nawet zna jego przezwisko. Chodzi o jakiegoś chłopaka z Rynku, na którego wołają „Pirania”. Początkowo znając konfabulacyjne skłonności syna, nie bardzo chciała mu wierzyć i dlatego te jego opowieści puściła w niepamięć. Kiedy jednak obejrzała w telewizji ten program i zobaczyła, że w napadzie naprawdę brało udział trzech mężczyzn, to jednak myśli sobie, że syn chyba znów bajek nie opowiadał. I teraz ma dylemat jak postąpić i czy informacje te przekazać policji, aby otrzymać obiecaną nagrodę, czy lepiej siedzieć cicho.

Na dzień wieczorem, po tej rozmowie, przyszedł do niej Mateusz Danielak, którego wszyscy nazywają „Ringo” z uwagi na jego wielką miłość do byłego perkusisty znanego zespołu The Beatles, którego, nieudolnie zresztą, we wszystkim stara się naśladować. Nawet nauczył się gry na perkusji i gra w jakimś takim „piwnicznym” zespole rockowym. Siedzieli w pokoju oglądając telewizję, popijając powoli jakieś popularne piwo i w pewnym momencie postanowiła trochę chłopaka podpytać o to, czego dowiedziała się od jego matki. Nie natrafiła na jego większy opór i dosyć szybko opowiedział jej dokładnie to samo, co dzień wcześniej opowiadała jej jego matka. Ona sama, jak każdy prawie mieszkaniec Wałbrzycha, już o tym zabójstwie słyszała, ponieważ gadała o tym cała dzielnica i nie bardzo chciało się jej wierzyć, aby właśnie to Mateusz posiadał wiedzę, której nie posiadała policja i prokurator. Ponadto zna go od dziecka i wie, że ma dosyć wybujałą fantazję, a wśród znajomych jego skłonność do konfabulacji była powszechnie znana. Z jego opowiadania wynikało konkretnie, że w dniu zabójstwa był u kolegi, który mieszka koło antykwariatu i kiedy szedł do niego, widział jak do antykwariatu wchodził Pirania, którego Mateusz znał z dyskoteki „Atlantis” w Rynku. Razem z nim było dwóch jakichś jego kolegów, ale kto konkretnie, tego nie powiedział. Później, kiedy po jakimś czasie wyszedł na ulicę, zauważył, że z antykwariatu chłopcy ci nagle i bardzo gwałtownie wybiegli i uciekli gdzieś w stronę Rynku.

- To wszystko? – spytał, kiedy zamilkła, trochę rozczarowany.

- Chyba tak – przez chwile nad czymś mocno się zastanawiała – zdaje się, że mówił też, iż wszystko opowiedział swoje matce, ale ta chyba go wtedy wyśmiała. Coś takiego chyba mówił.

Nie mogąc wyciągnąć od kobiety żadnych innych szczegółów, uzgodnił z nią, że ona z Jolantą Danielak jeszcze dziś porozmawia na temat przekazania tej informacji policji i po tej rozmowie zadzwoni do niego z informacją, czy Jolanta wyraża zgodę na spotkanie z kimś z komendy. Jednakże, jakby zrzędzeniem losu, w trakcie tej rozmowy do mieszkania – bez pukania – weszła jakaś kobieta i szybko okazało się, że jest to właśnie Jolanta Danielak. Brodacz był lekko zaskoczony, bo znał tę kobietę z tak zwanego „zielonego rynku” przy ulicy 1 maja, gdzie handlowała asortymentem zwanym powszechnie „szwarcem, mydłem i powidłem”, z tym, że znał ją jako Jolantę Niezgodę. Szybko okazało się, że Niezgoda jest nazwiskiem po drugim mężu, ale wszyscy od lat mówią na nią w dalszym ciągu Danielak, bo Niezgoda zaledwie kilka miesięcy po ślubie wpadł po samochód i zmarł praktycznie na miejscu, na ulicy. Z racji pracy w IV komisariacie Broda, tak jak praktycznie większość policjantów z tej jednostki,

bardzo często przebywali na terenie tego jarmarku, gdzie poszukiwali nie tylko różnych skradzionych rzeczy, ale spotykali się również z licznymi tam swoimi informatorami. Będąc tam niejednokrotnie rozmawiał z tą kobietą i niekiedy słyszał od niej wiele ciekawych historii, o których, jak to kobieta zajmująca się tego rodzaju działalnością, dowiadywała się zarówno od znajomych handlarzy, jak i kupujących. Znali się więc, ale nie była to specjalnie jakaś zażyła znajomość. On wiedział, że ona prowadzi swoją działalność handlową, ona, że on jest policjantem z IV komisariatu i bywa na targowisku nie zawsze w celach prywatnych. Ale ta wcześniejsza znajomość znacznie ułatwiła Brodaczowi pole manewru i błyskawicznie to wykorzystał w taki sposób, który miał uchronić jego rozmówczynię od podejrzenia, że o tym czego się od Danielkowej dowiedziała, zdążyła już wychłapać policjantowi.

- Pani Jolu, fajnie się składa, że akurat zajrzała pani do sąsiadki, ponieważ mam do obu pań pewną sprawę – zagadał, kiedy już opadło obustronne zdziwienie i zaskoczenie z tego niespodziewanego spotkania.

- Otóż jak panie wiedzę – udawał, że z Maniowska dopiero co rozpoczął rozmowę na interesujące go tematy – kilka dni temu w telewizji emitowany był program z cyklu „997” i pokazano tam materiał dotyczący napadu na antykwariat i zabójstwa antykwariusza.

Kątem oka zauważył, jak Zofia Maniowska oddycha z ulgą, czego nie udało się jej ukryć, ale można też było wziąć za reakcję, wywołaną tym, co Brodacz przed chwilą powiedział. Aby nie dopuścić do niepotrzebnych pytań ze strony Danielkowej kontynuował swoją z nagłą wymyślona dla niej legendę.

- Otrzymaliśmy z miejskiej polecenie, aby dotrzeć do jak największej liczby mieszkańców śródmieścia, a zwłaszcza okolicy Rynku, aby jeszcze raz przeprowadzić rozmowy. Może po tym programie komuś coś się przypomni. Jakiś szczegół, na który poprzednio nie zwrócił uwagi. Widziały panie ten program? – rzucił zniemacka pytanie.

- Tak, widziałyśmy Maniowska z miejsca wykorzystwała rzucone jej koło ratunkowe. Nawet rozmawialiśmy o tym przedwczoraj.

- Tak? A to ciekawe. O o czym konkretnie rozmawialiście? Coś się wam przypominało?

Obie kobiety przez chwile milczały, ale wymowne spojrzenie kierowane na przez Maniowską na swą sąsiadkę, zmusiło ją po chwili do zabrania głosu. Zofia Maniowska działała z pełną premedytacją, chcąc w ten sposób zmusić kobietę do tego, aby samodzielnie wyznała to, o czym jej wcześniej opowiadała. Tym samym nie wydałaby się jej rola, jaką miała wcześniej zamiar odegrać.

- Wie pan ... panie komisarzu – Danielak z wyraźną niechęcią wypowiadała słowa, rozdzielone chwilami milczenia – jest coś, co chyba powinnam powiedzieć na policji. Tylko nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

- Pani Niezgoda – użył jej znanego sobie nazwiska.

- Teraz nazywam się Danielak, panie komisarzu – szybko go poprawiła, jakby chciała oddalić chwilę, kiedy będzie musiała opowiedzieć to, co jej syn kilkadziesiąt dni temu opowiadał.

- Ok. Rozumiem. Pani Jolu – przeszedł na bardziej konfidencjonalny sposób

prowadzenia rozmowy – proszę mi powiedzieć o co chodzi, a ja sam zdecyduje, czy to ma jakieś znaczenie, czy też nie.

Niezgoda jeszcze przez chwile rozważała coś z wyraźnym napięciem, spoglądając to na policjanta, to na swą sąsiadkę. Zastanawiała się co i jak ma powiedzieć, ale po wyrazie jej twarzy można było dostrzec, że jak na razie o nic złego Zofii Maniowskiej nie podejrzewała.

- Panie komisarzu – odezwała się wreszcie zdecydowanym głosem – mam pewne informacje pochodzące od mojego syna, ale wie pan ... tu znów na chwilę zamilkła – on ma zauważalne skłonności o zmyślania. Ma to od dziecka i prawie wszyscy o tym wiedzą. Kiedyś na ten przykład opowiadał wszystkim, że pisze do niego listy Ringo Star. Pan wie, ten bitels? - spojrzała z ciekawością na Brodacza.

- Tak, wiem – skwitował krótko pytanie.

- No właśnie, on to opowiadał wkoło z takimi szczegółami, że niektórzy zaczęli nawet w to wierzyć. Dopiero ktoś go złapał na tym, że to, co wie niby od tego bitelsa, było dokładnie opisane w prasie. Wstydu się najadł, co niemiara i od tego czasu wołają na niego „Ringo”. Ale to niczego go nie nauczyło – zakończyła jakby ze smutkiem.

- W porządku, ale co dalej? – Brodacz zaczął powoli tracić cierpliwość i zamierzał kobietę zaatakować frontalnie, nie bawiąc się już w żadne ceregiele. Wszak zdążyła powiedzieć, że jej syn coś wie i to było w tym momencie najbardziej istotne.

Po tych słowach kobieta zaczęła opowiadać mu dokładnie to samo, co przed chwilą usłyszał od Maniowskiej, ale to wystarczyło mu w zupełności. Nawet nie starał się wydobywać więcej szczegółów, aby Maniowska nie musiała się z nimi zapoznawać.

Po zakończeniu swej relacji Brodacz postanowił kuć żelazo póki gorące i z miejsca wymógł na kobiecie, że jeszcze dziś porozmawia z synem na temat tego wydarzenia i nakłoni go, aby zgodził się na spotkanie z kimś z wydziału kryminalnego. Jednocześnie zapewnił, a nawet dał jej gwarancję, że o fakcie rozmowy, zarówno z nią, jak i z synem, nikt się nie dowie, co miejsca również zadeklarowała Maniowska. Uzgodnili też, że w dniu następnym, po południu, zatelefonuje do niej, aby dowiedzieć się, czy to spotkanie będzie mogło się odbyć. Powiedział również, na wszelki wypadek, że w sytuacji gdyby syn nie chciał się zgodzić na rozmowę, to on będzie musiał dać mu wezwanie i przesłuchać go w charakterze świadka. Więc lepiej dla niego będzie, jak spotka się dobrowolnie i przekaze tylko, co i kogo widział, a do sprawy nie będzie wplątywany.

- Wiesz, musiałem ją jakoś zmobilizować – usprawiedliwił się kończąc swoją opowieść .

- Dobrze zrobiłeś, to taki bat na gnojka będzie. Ciekawe, dlaczego ani ona, ani on nie zgłosili się z tym wcześniej – zastanawiał się Żeleźnik, który był pewny tego, że syn tej kobiety powie im znacznie więcej. Trzeba będzie tylko odpowiednio poprowadzić rozmowę, aby się nie wystraszył, no i aby można było zapewnić jakieś jego dalsze wykorzystanie. Bo o tym, że na jednym spotkaniu się nie skończy, wiedział już w momencie, kiedy Brodacz kończył swoją relację.

Treść przekazanych mu informacji wywołała w nim potrzebę natychmiastowego działania, więc polecił mu, aby do kobiety zatelefonował już teraz i uzgodnił z nią datę spotkania z jej synem.

Po zakończeniu krótkiej rozmowy z kobietą, Brodacz przekazał mu, że chłopak jest w domu i wyraził zgodę na spotkanie. Postanowili więc nie zwlekać i wykorzystać chwilę zaskoczenia, aby, ani chłopak, ani matka, nagle się nie rozmyślili. Bo przecie nie byli w stanie zmusić ich do jakiegokolwiek współpracy. Ponownie polecił, aby się Brodacz z nią raz jeszcze skontaktował i gdy ten wreszcie się do niej dodzwonił, przejął telefon, aby porozmawiać osobiście. Przedstawiał się jej wypowiadając przyjętą w takich sytuacjach formułkę zawierającą stopień, nazwisko i pełnioną funkcję, a następnie poinformował kobietę, że za chwilę u nich będą i żeby się niczego nie obawiali, ponieważ, zarówno on, jak i Brodacz będą w cywilnych ubraniach, a w okolicie mieszkania podjadą również cywilnym samochodem.

- Wie pani, to będzie dodatkowa gwarancja, że żadna postronna osoba nie będzie wiedziała, że to pani, czy syn, jakieś informacje nam przekazywaliście – uspokoił kobietę na koniec rozmowy.

Po tych wszystkich uzgodnieniach polecił sekretarce powiadomienie Palki, aby mu natychmiast załatwił jakiś wolny samochód operacyjny, ponieważ za chwilę będzie wyjeżdżać w teren. Nie chciał mu mówić nic na temat rewelacji Brodacza, uznając, że na to przyjdzie jeszcze czas. Następnie zwrócił się do milczącego kolegi, który z udawanym brakiem zainteresowania spoglądał w okno pokoju, tak jakby nagle coś bardzo ciekawego za nim dostrzegł.

- W porządku to Janek załatwiłeś, - pochwalił go, wywołując uśmiech zadowolenia na jego twarzy - Myślę, że premia komendanta znów cię nie ominie i tylko trzymaj kciuki, aby żadnego przypału nie było – dodał z uśmiechem.

Zadowolony z takiego nagłego obrotu sprawy wydał sekretarce odpowiednie dyspozycje na czas jego nieobecności, a następnie zadzwonił do Palki, ponagляjąc go w sprawie samochodu. Polecił mu też, aby aż do jego powrotu, oczekiwał na niego w komendzie i w miarę możliwości ściągnął do wydziały ilu tylko się da ludzi. Jadąc do mieszkania Niezgody, w myślach układał plan rozmowy, jaką zamierzał przeprowadzić i postanowił sobie, że wyciągnie z nich wszystko, a później zobaczy się, co z nimi zrobić.

W mieszkaniu zastali około trzydziestokilkuletnią na oko kobietę, której sylwetka i twarz wydawała się Żeleźnikowi jakby trochę znajoma, ale nie mógł sobie skojarzyć jej z nikim, z kim prywatnie lub służbowo mógł się kiedyś spotkać. Widać było, że będzie miał do czynienia z tak zwaną kobietą po przejściach, co to niejedno już widziała i co życie na jej twarzy wyraźnie zapisało. Brodacz, zaraz po wejściu do mieszkania dokonał niezbędnej prezentacji, ale kobieta zachowywała się, jakby tego nie usłyszała, okazując mocne i zdenerwowanie, wyrażające się gwałtownymi ruchami rąk i nerwowym szeptem, z jakim zwracała się do obydwu policjantów.

- Proszę panów, chyba nie będziemy mieli żadnych kłopotów z tego powodu – powtarzała pytanie kilka razy, prowadząc ich do ciemnego i z lekka zawilgoconego pokoju, pełniącego zapewne jednocześnie rolę sypialni i pokoju

jadalnego. Żeleźnik, który był mocno zdziwiony, że chłopaka nie ma w mieszkaniu, nie omieszkał od razu poprosić o wyjaśnienie tej sytuacji.

- Wysłałam go po papierosy – tłumaczyła pośpiesznie kobieta – wie pan, nerwowa jestem to i palić się co rusz mi się chce. Ale, kłopotów chyba mieć nie będzie, co? Niech mi pan to przyrzeknie, bo on nic nie zrobił złego przecież.- natarczywie wręcz dopomagała się jakiegoś potwierdzenia gwarancji bezpieczeństwa.

Słyszając te jej obawy, wyrażane głośno i kilka razy pod rząd, Żeleźnik zaczął zastanawiać się, czego ta kobieta tak bardzo się obawia. Przecież uzgodnili, że jeżeli syn opowie tylko to, co widział i ewentualnie, co wie, to nie będą go na świadka wzywali, a i żadnych kłopotów z tego tytułu mieć nie będzie.

- Niech się pani o nic nie obawia – zaczął ją uspokajać Brodacz – wszystko będzie tak, jak uzgodniliśmy. Prawda naczelnika – celowo w takiej formie zwrócił się do Żeleźnika chcąc, aby jego osobiste potwierdzenie uspokoiło kobietę.

- No oczywiście, nie musi się pani niczego obawiać, – wyprzedził jej pytanie, widząc, jak zareagowała na słowa Brody.

- Mam do pani taką prośbę. Niech pani, zanim syn wróci, powie mi, co pani wie i co on pani powiedział. Dobrze?

Chciał, przed przyjściem chłopaka, wyrobić sobie chociażby wstępną opinię, pozwalającą na wyłapanie ewentualnych różnic w relacjach tych dwóch osób.

Kobieta spuściła głowę, jakby chciała uniknąć jego wzroku.

- Tego dnia, on przyszedł do domu po południu, ja już na niego czekałam z obiadem. I był bardzo zdenerwowany – rozpoczęła cichym głosem.

- Tego dnia? - mocno zaakcentował pierwsze słowo zadanego pytaniami - To znaczy, którego? Niech pani mówi dokładnie – przerwał jej chcąc doprowadzić do tego, aby relacji kobiety była, w miarę jej możliwości, jak najbardziej dokładna. Musiał więc niejako wymóc na niej, aby starała się przekazywać dokładnie wszystko to, co się wtedy wydarzyło i co zapamiętała.

- No przecież mówiłam. Tego dnia, co zabili tego gościa z antykwariatu. No, tego Wiśniewskiego – poprawiła się, jakby reagując na natarczywy wzrok Żeleźnika.

- Nie pamiętam już daty, ale było to chyba ze dwa miesiące temu. Może trzy. Pamiętam, że już było ciepło, bo przez cały dzień świeciło słońce, ale jeszcze trochę śniegu leżało i ja nawet chciałam ten śnieg ... - przerwała widząc niecierpliwy gest Brodacza, który w ten sposób chciał dać jej znak, aby się trzymała szczegółów i nie opowiadało o rzeczach dla nich całkowicie zbędnych.

- Więc wtedy, kiedy Mateusz przyszedł na obiad – podjęła przerwany wątek - to powiedział mi, że zabili antykwariusza, a on wie, kto to zrobił, bo widział ich. Tak mi wtedy powiedział.

Żeleźnik zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy padło imię tego chłopaka, a nawet i ona przy przywitaniu praktycznie mu się nie przedstawiła, albo on tego nie usłyszał. Wprawdzie Brodacz podał jej nazwisko i imię, ale postanowił wprowadzić trochę bardziej oficjalną atmosferę, bo wiedział, że wówczas kobieta zacznie inaczej, bardziej po jego myśli, się zachowywać.

- Proszę pani, niech pani mi wybaczy, ale muszę panią poprosić o podanie swoich danych personalnych. Bo nawet nie wiem, z kim rozmawiam. No i oczywiście danych syna. Właściwie to powinienem zrobić to na początku naszej rozmowy – usprawiedliwił swoje nagłe żądanie.

Kobieta wpadła w wyraźny popłoch, spoglądając niepewnie w kierunku Brodacza, który idąc w sukurs koledze, ponownie zapewnił ją solennie, że to tylko do ich wiadomości i nigdzie oficjalnie nie będzie to odnotowane. Ale naczelnik – perswadował jej spokojnie - musi przecież wiedzieć, z kim rozmawia, tym bardziej, że sam został jej przedstawiony.

- Ja nazywam się Jolanta Niezgoda, a syn ma na imię Mateusz. Mateusz nosi nazwisko pierwszego męża, czyli Danielak. Mam jeszcze córkę, znaczy się starszą córkę i syna. Młodszego syna, ale oni pojechali do Wrocławia, do rodziny. Razem z nami mieszka jeszcze mój ojciec, ale w tej chwili też nie ma go w domu, bo poszedł gdzieś do swojego kolegi na szachy. Czy jeszcze coś panów interesuje – zapytała niepewnie.

- Nie, to wystarczy, ale proszę mi powiedzieć – Żeleźnik, na moment zawieszając głos, powrócił do istoty sprawy, która sprowadziła go w to miejsce - która to była godzina?

- Co ... kiedy? – kobieta wydawała się całkowicie zdezorientowana, prawdopodobnie wysłuchując z uwagą, czy przypadkiem nie nadchodzi jej syn.

- Jak to, kiedy? – zdenerwował się Żeleźnik – wtedy. Właśnie wtedy, o czym przed chwila rozmawialiśmy.

- Aaa ... no tak. Mówiłam przecież, że przyszedł na obiad – kobieta zastanawiała się przez chwilę – on się wtedy spóźnił, no to mogło być gdzieś koło piątej. Może kilkanaście minut po piątej. Po południu – uzupełniła szybko widząc pytający wzrok Żeleźnika.

- On wtedy powiedział, że widział, jak do antykwariatu weszło trzech chłopaków, a po jakimś czasie z niego wybiegali i on jednego rozpoznał, bo go znał z miasta i mówił, że był to ten, no... - zastanawiała się przez chwilę – no, Pirat. Tak, Pirat. Tak mi powiedział – kobieta ostatnie zdanie wypowiedziała z wielkim przekonaniem, jakby chciała zetrzeć złe wrażenie, wywołane chwilą wątpliwości, którą okazała przed momentem.

- Pani go wcześniej znała? – indagował dalej Żeleźnik.

- To znaczy kogo?

- Tego Pirata, czy jak mu tam. Chodzi mi o to, czy znała pani wcześniej to przezwisko, albo osobę?

- Czy ja wiem? – pocierała intensywnie brodę, starając sobie coś więcej przypomnieć – nie wiem, on tak mi to powiedział i tak zapamiętałam i nie wiem czy znam taką osobę.

Dalszą rozmowę przerwało nagłe wejście do pokoju młodego, raczej szczupłego i niewysokiego chłopaka, ubranego w stary i sprany komplet dżinsowy. Stał przy drzwiach z ręką opartą na klamce, jakby zastanawiał się czy ma zostać, czy szybko wychodzić z pokoju, zanim usłyszy polecenie, co ma zrobić. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest mocno zdenerwowany, co widać było między innymi, a na co Żeleźnik z miejsca zwrócił uwagę, z mocno rozbieganych

rozbieganych oczu. A on ludziom z rozbieganymi oczami, jakoś tak chyba instynktownie, nie wierzył. Nie miał do nich zaufania.

- O, to właśnie Mateusz – powiedziała kobieta wskazując na nieruchomo stojącego w drzwiach chłopaka.

- Mateuszk, to są panowie z policji, co ci mówiłam – w głosie kobiety słychać było wyraźnie rozterkę pomieszaną z obawą, czy faktycznie dobrze zrobiła, godząc się na to, aby on rozmawiał z policjantami w sprawie, która może im przynieść tylko same kłopoty.

- Ja tam nic nie wiem – buńczucznie odezwał się chłopak spoglądając nieufnie na dwóch obcych mu cywilów, mających być niby policjantami.

- Spokojnie Mateusz, spokojnie – odezwał się Brodacz pokazując mu wypracowanym gestem legitymację służbową – my wiemy, że ty coś wiesz i ty już wiesz, że my wiemy. Masz więc chyba nam coś do przekazania. A jeżeli tego nie zrobisz, to wiesz, że będziemy musieli cię zabrać na przesłuchanie, bo mama – wskazał ręką na kobietę - już nam częściowo powiedziała to, co widziałeś.

Brodacz celowo mówił lekko podniesionym głosem, chcąc chłopaka zbić z tropu i zmiękczyć go na samym wstępie. Wiedział, że w takich przypadkach tylko stanowczość i zdecydowana postawa może wywołać pożądany skutek.

- Mateusz, spokojnie. Nic ci z naszej strony nie grozi. Chcemy tylko pogadać – Żeleźnik, kierując się wieloletnim doświadczeniem, przeszedł od razu do tej najbardziej konfidencjonalnej formy, aby z miejsca wytworzyć coś w rodzaju osobistej więzi, by chłopaka nie peszyć i nie wywoływać jego zaniepokojenia. Zwykle wpływało to uspokajająco i praktycznie nigdy nie zawodziło.

- Usiądź tu z nami i bez nerwów opowiedz spokojnie wszystko, co widziałeś. Chodzi mi o praktycznie nawet najdrobniejsze szczegóły – wskazał mu ręką na krzesło stojące obok – wszystko, jak to po kolei się działo i jak to zapamiętałeś.

- Proszę pana – chłopak usiadł na wskazanym miejscu, co było już dobrą prognozą na najbliższą przyszłość – ja naprawdę nie chcę mieć kłopotów. Wie pan, oni mogą mi coś później zrobić, mogą się mścić.

- Jacy oni, Mateusz? – Żeleźnik sprytnie wszedł mu w słowa – może to bardziej sprecyzujesz.

- No oni, co ich widziałem – wyrwało się chłopakowi, na co zresztą Żeleźniak liczył, zadając mu to pytanie.

- A mówiłeś, że nic nie wiesz – Brodacz przyszedł w sukurs koledze, chcąc skłonić chłopaka do kontynuowania zwierzeń. Obydwoje dodrze wiedzieli, że najlepsze efekty przynosi szybkość zadanych z zaskoczenia pytań.

- No bo nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ja teraz coś powiem, nic z tego mieć nie będę, a tylko same kłopoty – droczył się chłopak, chcący wyraźnie ugrać dla siebie jak najlepsze warunki rozmowy.

- Słuchaj – Żeleźnik doszedł do wniosku, że czas najwyższy przerwać tę zabawę w kotka i myszkę – jak nie chcesz to nie. Nie będziemy tu tracić czasu. Ja ci zaraz wypiszę wezwanie, abyś się do komendy stawił, tam cię przesłuchamy i zobaczymy, co dalej. Tylko pamiętaj, że zeznawać będziesz pod przysięgą i za kłamstwa możesz nawet wylądować na dołku. Zdajesz sobie z tego sprawę – tym, ni to pytaniem, ni stwierdzeniem, zakończył nagłą tyradę obliczoną na

kolejne zaskoczenie chłopaka, którego informacje mogły być dla nich tak ważne. Tak, jak zakładał, taka jego reakcja odniosła natychmiastowy skutek i chłopak poprawiając się nerwowo na krześle zwrócił się do Brodacza, do którego widać, z wiadomych tylko sobie powodów, nabrał większego zaufania.

- Proszę pana, ale ja naprawdę się ich boję i dlatego, i tylko dlatego – podkreślił to wyraźnie – nie chcę być w to zamieszany. Ja to powiem, ale dacie mi gwarancje, że nie będę nic musiał mówić u prokuratora – widać było, że temat ten był już wcześniej omówiony w jakimś szerszym gronie i chłopak targował się tylko o to, aby jego nazwisko w sprawie w ogóle się nie przewijało.

- Masz naszą gwarancję – Żeleźnik odpowiedział za Brodacza, chcąc dać do zrozumienia, jaka hierarchia służbowa tu obowiązuje i, że to on jest tym, kto może dyktować lub ustalać warunki umowy – a teraz mów. Tylko dokładnie. Z kieszeni kurtki wyjął notes i spoglądając oczekująco na chłopaka dokonał zapisu daty, a chłopak po krótkim wahaniu rozpoczął swoją opowieść przerywaną z rzadka pytaniami Żeleźnika, chcącego niektóre usłyszane fakty uściślić lub naprowadzić relację na właściwe i oczekiwane przez niego tory.

Okazało się, że w dniu, w którym miało miejsce zabójstwo, a którego daty jakoś nie mógł sobie przypomnieć, wracał z kiś ze szkoły. Jakimś kolegą z klasy, z którym wcześniej był w bibliotece. Będąc w okolicy ul. Niskiej przypomniał sobie, że umówił się z innym kolegą mieszkającym na tej ulicy, któremu miał oddać mu pożyczoną wcześniej książkę. Dlatego pożegnał się z tym chłopakiem i dalej szedł sam. Nie pamięta, która wtedy było godzina, bo nie ma zegarka, ale nie wyklucza, że mogła to być godzina pierwsza, czyli trzynasta, a może nawet trochę i później. W tym dniu zajęcia w szkole skończyły się wcześniej, bo urwały im się dwie lekcje, a więc nie śpiesząc się, razem z kolegą, w kierunku Śródmieścia udali się na piechotę. Zakłada więc, że z Białego Kamienia, gdzie miała siedzibę jego szkoła zawodowa, do Moniuszki mogli iść nie dłużej jak 30 – 35 minut. No, może i czterdzieści, bo po drodze zajrzeli do kilku sklepów z płytami CD, ponieważ mieli w zamiarze dokonać przegrań muzyki z komputera ich wspólnego kolegi. Na Moniuszki zajrzał na chwilę do biblioteki i następnie udali się w stronę Rynku i gdy doszli do antykwariatu rozstali się. Szedł w kierunku budynku w którym mieszka ten kolega, któremu miał oddać pożyczoną książkę i gdy znajdował się na wysokości sklepu z butami Big Star, usłyszał dźwięk dzwonka sygnalizujący, że ktoś wchodzi do antykwariatu. Obejrzał się i zobaczył, że wchodziło tam trzech mężczyzn. Nie widział ich twarzy, a jedynie zapamiętał, jak jeden z nich był ubrany, bo ubrany był dosyć jaskrawo. Zaciekawiony tym podszedł do okna wystawowego i przez szybę widział, jak mężczyźni podchodzą do Wiśniewskiego. Uwagę jego zwróciło to, że jeden z nich szedł wzdłuż ściany, drugi środkiem, a trzeci wzdłuż okna wystawowego. Nie wie dlaczego tak uczynił, ale widział to naprawdę. Po tej obserwacji udał się do tego kolegi mieszkającego kilkadziesiąt metrów od antykwariatu i rozmawiał z nim chyba z pięć minut na klatce schodowej, przez czas w którym kolega ten wypalił papierosa. Gdy wracając, a szedł w kierunku ulicy Mickiewicza, znalazł się na wysokości antykwariatu, przeszedł na drugą stronę ulicy i gdy był już kilkanaście metrów od niego, przy wystawie sklepu

„Caritas” ponownie usłyszał dźwięk dzwonka. Wówczas też się odwrócił i zauważył, że wybiegł z niego chłopak, a właściwie młody mężczyzna, który od razu pobiegł w lewo stronę, to znaczy w kierunku Moniuszki. Po dwóch lub trzech sekundach wybiegł za nim kolejny chłopak, który pobiegł w tą samą stronę, a po nim wypadł z lokalu ten o ksywie Pirat, którego znał z widzenia. Ten Pirat zatrzymał się na chwilę i wyglądał, jakby był czymś bardzo wystraszony lub zdenerwowany, bo się rozglądał nerwowo dookoła, a później dopiero pobiegł za swoimi kolegami. Tamtego, co wybiegł jako drugi, też znał z widzenia, bo kiedyś dostał od niego parę razy w twarz na dyskotecę w „Atlantisie”, za to, że niby zaczepiał jego dziewczynę, co było nieprawdą. Wiedział też, że ten chłopak mieszka „domkach” w dzielnicy Podgórze, gdzieś w okolicy ulicy Kasprowicza, bo tam często chodził do swojego kumpla, w pobliżu którego ten chłopak mieszkał. Kojarząc sobie te fakty wystraszony się, że stało się coś okropnego, więc szybko udał się do domu. Szedł podwórkami, aby nikt nie mógł coś mu złego zrobić i jak przyszedł do mieszkania to wszystko opowiedział mamie. Nic więcej na ten temat nie wie i nie przypomina sobie. I z nikim, poza mamą, na ten temat nie rozmawiał – nie wiadomo z jakich powodów przemilczał to, że o tym, co wtedy widział, rozmawiał parę dni temu z Zofią Maniowską

Wysłuchawszy tej relacji Żeleźniak uznał, że jest to faktycznie najważniejsza, jak do tej pory, wiadomość, która stwarza realne szanse na ustalenie sprawców i szybkie pozytywne zakończenie sprawy. Już widział, oczami wyobraźni, zadowoloną minę Maja i komentarze Holendra, który lubił, gdy podległe jemu wydziały sprawnie realizują postawione przed nimi zadania.

Nie zważając na początkowe protesty chłopaka, umówił się z nim, że jutro ktoś dyskretnie po niego przyjedzie, aby w komendzie spokojnie mogli sobie na ten temat porozmawiać jeszcze raz, bo on ma dodatkowo parę pytań, ale teraz już nie ma czasu, bo musi jechać do komendy w ważnej sprawie. Ma się niczego nie obawiać, bo umowa obowiązuje, ale obowiązuje w obie strony i on, jako naczelnik, ma nadzieję, że zechce im pomóc, oczywiście przy zachowaniu pełnej dyskrecji, w rozwiązaniu tej sprawy i zamknięciu w kryminale zabójców Wiśniewskiego.

Po wyjściu z mieszkania spojrzał przeciągle na kolegę, jakby chcąc zapytać, co o tym sądzi.

– No, to chyba to jest to, są pewne luki, ale to dopracujemy chyba? – Brodacz odpowiedział mu pytaniem, raczej o retorycznym charakterze.

- Tak, to pierwsza sensowna informacja, ale nie mamy się jeszcze z czego cieszyć. To jeszcze mało – Żeleźnik, mimo, że w środku czuł rosnącą w nim pewność nieodległego sukcesu, na zewnątrz starał się zachować pozory sceptyka.

- Aby nie zapeszyć – pomyślał, nie mogąc opędzić się od nasuwających mu się obrazów wyrazu twarzy Maja, słuchającego jego relacji dotyczącej zatrzymania sprawców zabójstwa. Ustalenia i zatrzymania, do którego doszło w oparciu o jego i Brodacza wyłączne zasługi. Co do tego, nie miał żadnej wątpliwości. Jak myśliwski pies wyczuwał na odległość zwierzynę, tak on czuł już sprawców zabójstwa i przedsmak nadchodzącego sukcesu.

- Oby nie zapeszyć – słowa te, ściskając mocno dłoń Brodacza, wygłosił jak jakąś liturgiczna formułkę.

- Oby – odpowiedział mu jak echo.

Zaraz po powrocie na komendę wezwał do siebie Palkę i pokrótce zreferował mu wszystko to, czego się dowiedział. Następnie uzgodnili, że Palka ze Śmiechem dokonają szybkiego sprawdzenia zarówno matki, jak i syna, a później zastanowią się jakie działania podjąć dalej.

- Na razie niech chłopaki robią to, co mieli zaplanowane, więc nic im nie mów – pouczył swego zastępcę – i niech Maciek też trzyma twarz na kłódkę.

- Ok, nie ma sprawy, zaraz się tym zajmę, a myślę, że dobrze by było, aby Śmiech poleciał w miasto i dyskretnie pogadał ze swoimi – zaproponował Palka – wiesz dobrze, jakie ma mocne dotarcie. Zwłaszcza tam w Śródmieściu.

- W porządku – zgodził się bez oporu Żeleźnik – tylko niech za dużo czegoś gdzieś nie chlapnie, żeby nie trzeba było go do domu odwozić. Idź już, a ja biorę się za napisanie notatki, póki mam wszystko świeżo w głowie.

Po wyjściu zastępcy usiadł przy biurku i zaczął pisać notatkę ze spotkania, starając się wiernie odtworzyć atmosferę całego spotkania, przebieg rozmowy, a zwłaszcza tego, co mu Mateusz Danielak mu opowiedział. Nie przypuszczał nawet, że notatka ta mogła w przyszłości stać się kluczem do tego, co pod jego kierownictwem spartolili jego podwładni, którzy mieli doprowadzić do ustalenia wszystkich okoliczności zbrodni i jej sprawców. Nie przypuszczał też, że ktoś w przyszłości podda pod wątpliwość to, co on sam osobiście napisał, i że tym kimś będzie Sąd Najwyższy, który uznał tę relację naczelnika wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Wałbrzychu za mało istotną i nieodpowiadającą prawdzie.